Nr. 4. Lwów, dnia 1. Lutego 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr. kwartalnie 1 zł. 50 ct., miesięcz. 50 ct. Skład w księgarni Polskiej Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie 12 marek, półrocznie 6 marek, ćwierćrocz. 3 m., miesięcz. 1 m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski.

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya „*Wieczorów zimowych*" **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„*Wieczory zimowe*" **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1-go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

VII.

W chwili gdy ks. Błażej z kazalnicy zstępował, przed pagórek, na którym stał kościół, zajechała bryczka z dwoma urzędnikami gospodarskimi, których Scholtz wysłał do Trzcińca, by ci po nabożeństwie porozumieli się z dziewczętami. Urzędnicy byli obadwa niemcy, przytem protestanci. Nie weszli tedy do kościoła, lecz chodząc dokoła, czekali, pókiby się nabożeństwo nie skończyło.

Wkrótce nawinął im się pod rękę Jasiek Żołędziak. Ten z daleka niemców w nich poznawszy, zaczął zbliżać się powoli, a ostroznie i obojętnie, jakby na nich uwagi nie zwracał; udawał nawet, że przypatruje się tylko okolicy i piękność jej podziwia. Dopiero gdy jeden z nich, papierosa skręciwszy, naprózno czas jakiś rozglądał się wzrokiem pytając, gdzieby mógł ognia dostać, Jasiek sięgnął prędko ręką do kieszonki od kamizelki, zkąd wyjął zapałkę. Urzędnik ujrzawszy to podszedł, aby ją wziąć od niego; on jednak okazał się jeszcze grzeczniejszym, w tejże chwili bowiem potarł zapałkę o swój rękaw i podał ją nieznajomemu, mówiąc:

— *Bitte.*

— *Danke schön* — niemiec odpowiedział.

Te dwa słowa zapoznały ich i zbliżyły, tem łatwiej, że Jasiek pragnął tego, urzędnik zaś osądził, że znajomość z chłopem miejscowym może mu się na co przydać. To też w kilka minut przechadzali się w trzech, swobodnie z sobą rozmawiając, a ilekroć mijali jaką grupę włościan, Jasiek mówił wtedy tak głośno po niemiecku, że nawet głuchy musiałby go był usłyszeć, rękami zaś tak szeroko wymachiwał, że i ślepy byłby nań zwrócił swoją uwagę.

Oni długo nie czekając, opowiedzieli mu, co ich do Trzcińca sprowadziło; on słów ich wysłuchawszy ofiarował im zaraz swoje usługi, zapewniając, że gdy zechce, wszystkie dziewczęta z okolicy pospieszą jutro do Ujścia, bo chociaż dopiero od kilku tygodni przebywa w tych stronach, miał jednak sposobność nie raz się już przekonać, że dziewczęta lgną ku niemu jak muchy do miodu. Urzędnicy uśmiechnęli się na to, lecz że jego pewność była im na rękę, postanowili zatem z niej korzystać i chętnie przyjęli ofiarowane sobie usługi.

Po skończonem nabożeństwie, p. Miliński pospieszył do zakrystyi za proboszczem. Uścisnęli się jak starzy przyjaciele.

— Dziękuję księdzu dobrodziejowi za dzisiejsze kazanie — dziedzic przemówił. — W kościele nie było jednego oka suchego.

— Poczciwi płaczą — proboszcz odrzekł z westchnieniem — ale ci, których chciałbym wzruszyć i poprawić, pewnie mnie nie słyszeli, bo ci ponoś do kościoła już nie chodzą. Miałem tu z nich jednego przed nabożeństwem, miałem — i cud prawdziwy, że mnie krew nie zalala... Opowiem to kiedyś panu dobrodziejowi.

— Wartoż, książe proboszczu, dla złych tak się narażać?!

— Może i nie warto, boć to życie mogłoby jeszcze zdać się na co, ale czyż jam winien, że siły we mnie, to jak płomień w lampie konającej? Im bliższy zgaśnięcia, tem gwałtowniej bucha.

Zaczął kaszlać. Tym razem jednak, kaszel nie był tak gwałtowny jak przede mszą, a gdy wody się napił, całkiem się uspokoił.

— Spodziewamy się, że ksiądz dobrodziej zje dziś z nami objadek — dziedzic przemówił. — Ja z memi paniami zaraz odjadę, ale za chwilę przyszlę konie.

Ksiądz nic na to nie odpowiedział, tylko panu Milińskiemu rękę uścisnął. Zwyczajem to już było z dawien dawna przyjętym, że każdej niedzieli i w święta, jeździł na objad do dworu, zkąd koło trzeciej wracał do kościoła na nieszpory. Po nieszporach, bądź z włościanami szedł na „kółko“ bądź udawał się znowu do dworu na gerylasza, którego grywał z panem Milińskim i jego damami.

W chwili, gdy p. Miliński drzwi za sobą zamykał, z kościoła wszedł do zakrystyi Wojciech Żołędziak. Zbliżywszy się do księdza, do kolan mu się skłonił i w rękę go pocałował, mówiąc:

— Pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki, wieków — proboszcz odpowiedział, po czem dodał. — Dobrze Wojciechu, żeście przyszli, mam dla was coś ładnego. Popatrzcie tylko mój przyjacielu.

Z temi słowy, sięgnął ręką na szafę, zdjął z niej obraz w trąbkę skręcony, rozwinął go i Wojciechowi tak go pokazując, by tenże nie mógł pod nim podpisu przeczytać,

— Jak wam się zdaje, kto to taki? — zapytał.

Rybak spojrzał najpierw na obraz i czoło zmarszczył, następnie na księdza, który się uśmiechał podniósł wzrok pytający, i znowu go na obraz spuścił.

— I cóż Wojciechu, zgadniecie?

— Ta mnie się widzi, proszę łaski jegomości, co to król Sobieski. Podobniusieńkiego oglądałem raz w Poznaniu na wystawie w księgarni.

— Zgadłeś mój przyjacielu! —potwierdził ksiądz wesoło. — W rzeczy samej to Sobieski, wielki król i dobry katolik, który nim Turka zaczął bić pod Wiedniem, wpierw modlił się gorąco i sam do mszy świętej służył.

— A któremu niemczyska dobrze się wywdzięczyli — rybak dokończył.

— Niestety! — westchnął proboszcz. Potem wieśniakowi obraz podając, dodał: — Weźcie go Wojciechu i dajcie sobie zrobić ramki ze szkłem. Nie powinno by to drogo kosztować, zapłacicie markę, dwie najwięcej

— A choćby i dwa bite, proszę łaski jegomości! — rybak zawołał. — Czyż on nie wart tego, ten poczciwy król i porządne panisko? Zaraz jutro dam go w mieście oprawić, żeby mi się gdzie broń Boże nie zmarnował.

Wziął obraz, pocałował księdza w rękę i głęboko mu się ukłonił, obiema dłońmi kolan się jego dotykając.

— Był tu u mnie dziś wasz Jasiek — proboszcz przemówił — chciał metryki, chłop walny, jak dąb, ale cóż kiedy bezbożnik i już na niemieckie kopyto trochę naciągnięty. Zmartwił mnie, mój Wojciechu, bardzo mnie zmartwił.

— Ach! proszę łaski jegomości, ja już nie wiem czy żyję, bo i serce mnie boli i wstyd mam okrutny. Przecie to moja krew własna, a tak się to wyrodziło, że chyba człowiekowi przyjdzie głową już nałożyć.

— Nie rozpaczajcie tylko Wojciechu, bo przecie to grzech ciężki. Zresztą chłopak to jeszcze młody, może się więc poprawić Wspominaliście mi tu kiedyś, że chce iść do Berlina, ja mu wprawdzie metryki nie mogę odmówić, bo już skończył dwadzieścia jeden lat, jest zatem pełnoletni, ale będę zwlekał, tymczasem jak się do niego weźmiemy z dziedzicem, to się w nim może ambicja obudzi, w najgorszym zaś razie jeżeli nie dacie mu pieniędzy, będzie musiał zostać Nie dosyć że niemcy do nas się wciskają, a my byśmy mieli jeszcze naszych synów do nich posyłać, by się niemczyli?

— Niedoczekanie ich, niedoczekanie! — Wojciech zaprotestował.

— Dziś, po nieszporach, będzie kółko, mój przyjacielu. Powiedźcie tylko gospodarzom, żeby się liczniej zebrali, niż ostatnim razem, wtedy tak was mało było, żem się aż dziedzica wstydził.

— Ta oni sami są zmartwieni, że tak się stało, proszę łaski jegomości i bardzo za to przepraszają — rybak odpowiedział, księdzu do kolan znowu się schylając — ale tak jakoś wtedy się złożyło, że na nieszporach nikt nie zapowiedział, iż będzie kółko, więc jedni poszli odwidzieć kmotrów do Ujścia, drudzy do Komarowa, gdzie niektóry położył się także spać, bo człek teraz przez tydzień dobrze się napracuje, chciałby też w niedzielę trochę odpocząć. Ale dziś, proszę łaski jegomości, będzie inaczej, bo już wszyscy wiedzą, że po nieszporach mają pójść na kółko.

— A weźcie z sobą także Jaśka, mój Wojciechu. Kiedy między obcymi odwykł od swoich, to niech że teraz wśród swoich o obcych zapomina. My tej biednej duszy nie możemy opuścić, bo przecie w niebie większa jest radość z jednego nawróconego, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych.

— Oj! prawda, prawda, proszę łaski jegomości, żeby jeno ten poganin chciał pójść z ojciem.

Na tem skończyła się rozmowa proboszcza z rybakiem. Wojciech pożegnawszy się odszedł do swego domu. Ksiądz udał się na probostwo, gdzie prędko kawę wypił, przed gankiem bowiem stały już konie, poczem wsiadł do powozu i odjechał

Był niedaleko dworu, gdy na drodze ujrzał

pannę Antosię, siostrę pani Milińskiej, idącą ze swoimi siostrzeńcami: Jancią i Stasiem. Na ich widok, ksiądz kazał konie zatrzymać i z powozu wysiadł.

Dzieci wyrwały się ciotce.

— Ksiądz ploboszcz! Ksiądz ploboszcz! — wołała pięcioletnia dziewczynka, biegnąc naprzeciw gościowi.

— Plobość! Płobość! — krzyczał chłopczyk, młodszy od siostry o półtora roku.

— Nie mówi się Stasiu, plobość, tylko ksiądz proboszcz! — Jancia go poprawiła, gdy oboje przed kapłanem stanęły.

— Siąć plobość! siąć plobość! — braciszek powtórzył, drobne rączęta do księdza wyciągając.

Ten pochylił się z uśmiechem, dzieci w czoła pocałował, potem chłopca rękami wpół biorąc, zapytał:

— Ja siąć, a ty jak się nazywasz, malcze?

— Staś Miliństi, polat i tatolit.

— Mówi się polak i katolik — siostrzyczka poprawiła.

— O! ty tatolitu! — zawołał z radością i chłopca podniósł wysoko ponad głowę.

Malec roześmiał się na całą buzię i z góry na księdza poglądając, zapytał:

— A będziemy glali?

— Będziemy, będziemy.

— Będziemy, bo dziś niedziela — dziewczynka potwierdziła, poczem cieniutkim głosikiem zaczęła śpiewać:

Tańcuj-że Grzela,
Bo dziś niedziela —
Wybijaj piętą,
Bo niedziela święto!

— Brawo Jańciu, brawo! Jak widzę w ostatnim tygodniu nie mało skorzystałaś od swojej piastunki. A może to nauka pani? — dodał proboszcz, zwracając się ku pannie Antoninie.

— Bynajmniej, to w rzeczy samej nauka piastunki — odrzekła, Jańcię za rączkę biorąc. Gdy do chłopca także rękę wyciągała, ten na bok się usunąwszy, podał swoją proboszczowi, poczem szedł obok niego poważnie, i podczas gdy ksiądz tylko jeden krok stawiał, on, by mu nastarczyć, musiał małemi nóżkami robić po trzy drobne kroczki.

Przez całą drogę dzieci szczebiotały, i ani na chwilę buzie im się nie zamknęły. W ciągu też pięciu minut proboszcz się dowiedział, że za dni kilka ma babcia przyjechać; że ubiegłej nocy bocian przyniósł klaczce źrebiątko, na którem będzie kiedyś Staś jeździł; że tatuś zastrzelił rano w ogrodzie brzydkiego ptaka, który chciał kurkę złapać i że mamusia tak się strzału przestraszyła, że kazała sobie do łóżka przynieść kawę, bo ją głowa bolała.

Tak rozmawiając, doszli do dworu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

Gdy ją kiedy do pralni wysłano, której ok na wychodziły na rynek, patrzyła z pod oka na przechodzących. Widziała snujące się pod oknami kobiety i młode dziewczęta, które wydawały się jej niespokojne i zakłopotane. Wiedziałyż dokąd dążą? Siostra Marya całem sercem nad niemi ubolewała, bo też rzeczywiście były godne pożałowania. Dotąd jeszcze nie domyślały się i nie odkryły, że szczęściem jedynem, tu na ziemi, jest miejsce w szpitalu i chorych doglądanie.

IV.

Rzecz jedna tylko zatruwała jej pobyt w ukochanym szpitalu, a to gdy w nim zjawiał się starszy pan Cantarel. Na nieszczęście była skazana widywać go codziennie. Każdego ranka, o tej samej godzinie, w każdej porze roku i w jakąkolwiek pogodę, czy śnieg padał, czy grad, czy pioruny z nieba leciały, pojawiał się czarnym fraku i białym krawacie, a w chwilę później, zaczynał zwykłą inspekcyę, przepasany dużym fartuchem, z czapeczką aksamitną na głowie, trochę z fantazyą na bok przechyloną.

O ile mogła nienawidzieć, o tyle siostra Marja czuła wstręt nieprzywyciężony do tego człowieka. Miała potemu bardzo wiele powodów. Nie mogła mu przebaczyć iż został głuchym na prośbę umierającego i na to tylko dał jej list ojca do przeczytania, aby jej pokazać, jak sobie z niego nic nie robił. Przypisywała jego znalezienie się w tym wypadku, zupełnej nieczułości, z którą lubił się popisywać. Matka Amelja nie omieszkała też zdradzić przed nią tej obciążającej okoliczności, iż sławny lekarz i operator był ateuszem twardym i niewzruszonym. Nigdy dotąd nie widziała ateusza, nie pojmowała też dobrze, jak nim być można. Zdawało się jej, iż Bóg jest tak niezaprzeczonym, jak światło słoneczne i że ateizm wypływa chyba z braku zupełnego rozwinięcia umysłu, lub z pychy serca potwornego i zakażonego. Wywnioskowała z tego ostatecznie, iż jej dziadek musi być jednocześnie człowiekiem najdumniejszym, najbardziej nieczułym i serca najgorszego, jeżeli w ogóle serce jakie posiada.

Jego postać nie mogła siostry Marji z nim pogodzić. Szeroki w ramionach, z piersią potężną, kościsty i silnie zbudowany, ten człowiek nad miarę wysoki, nosił głowę jeszcze wyżej, głowę posągową, która, o ile zdawać się mogło, nie schyliłaby czoła dumnego, ni przed Bogiem, ni w obec śmierci. Z profilu, jego nos zakrzywiony i czaszka łysa, po której zaledwie kilka pęczków włosów siwawych błąkało się tu i owdzie, robiły go podobnym do sępa oskubanego. Gdy się jednak z przodu na tę twarz spojrzało, czoła szerokość majestatyczna, blask oka nadzwyczajny i głębia wzroku, zmieniały go zupełnie. Wzrok ten patrzał prosto w oczy, badał wyraz twarzy, przenikał ciało i duszę, aby wydobyć na jaw myśl najskrytszą; wzrok ten tak samo zręcznie kłamstwo poznawał, jak ręka składała kości połamane, lub operowała raki i karbunkuły. Ręka operatora, musi być instrumentem niesłychanej delikatności i dokładności jednocześnie, łatwiej też ona traci giętkość i pewność, niż głos tenorowy; aby ją zachować od

*

wypadków źle wpływających, trzeba prowadzić niemal życie surowe, trzeba wiecznie o tem pamiętać, aby coś jej elastyczności nie nadwerężyło. W latach sześćdziesięciu, pan Antoni Cantarel, robił ze swoją ręką co tylko chciał, zachowała całą rzutność i szybkość błyskawiczną Utrzymywano ogólnie, iż to, na co innym operatorom potrzeba trzech ruchów, u niego wystarcza jeden, lub najwyżej dwa. Prawie zawsze niewzruszony, przemawiał krótko i szorstko, nie pieszcząc się wcale ze swoimi pacjentami. Tylu ich widział! Nie słuchał ich skarg, przerywał brutalnie ich czczą plaplaninę. Gdy mu się opierano, lub gdy co nie szło po jego myśli, wpadał w gniew szalony. Szyby w szpitalu mogły o tem dużo powiedzieć, dzwoniły bowiem larum nie lada, ile razy głos jego straszny i gromki rozległ się po sali.

Siostra Marja musiała jednak przyznać, iż wywierał wpływ niesłychany na całe swoje otoczenie. Uczniowie przezwali go arcykapłanem i wchłaniali każde jego słowo niby wyrocznię. Uważali go za operatora najzdolniejszego w całym Paryżu Przyznawano, iż był w ogóle za środkami heroicznemi, wyrzucano mu kilka amputacyi zbytecznych; inni jednak energicznie przeciw temu protestowali zapewniając, iż widzi jaśniej niż ktokolwiek; chociaż ucina członki ludziom z prawdziwą przyjemnością, robi to li z gwałtownej potrzeby. Pewnego dnia siostra Marja spotkała go gdy wychodził z sali operacyjnej, dziarski i niewzruszony jak zwykle i słyszała jak mówił do asystenta tonem niemal wesołym:

— Dziś miałem operacje prześliczne!

Tego dnia w rzeczy samej naprawił krzyże przełamane, wyciął skira potwornego sposobem zupełnie nowym, nakoniec wykonał arcydzieło sztuki chirurgicznej, czaszkę najszczęśliwiej trepanując, aby z niej kulę wydobyć. — W chwilę później usłyszała go łającego ostro tego samego asystenta, iż rozporządził łóżkiem wolnem i umieścił na niem, jakąś biedną szwaczkę, z nogą w kolanie złamaną. — „Czyż ja na to chodzę po świecie, wołał z oburzeniem, aby komuś składać kości“? — Rad był mieć li w swojej praktyce pacjentów nadzwyczajnych, operacje godne jego genjuszu. Nie przeszkadzało mu to jednak odwidzieć dnia każdego wszystkich chorych; przebaczał wspaniałomyślnie tym, których kalectwo nie przedstawiało nic ciekawego, i którzy zadowolili się przetrąceniem jakiejś kości; nie mógł atoli przenieść na sobie, żeby im nie okazać, jak dalece pogardza takiemi drobnostkami.

Według zdania matki Amelji, która wzdrygała się na samo wspomnienie o tym człowieku, miał on być silnie przekonany, iż szpitale istnieją dla lekarzy, nie dla chorych. Utrzymywała również żartobliwie, w nader rzadkich chwilach wesołości, że operacje pomagają do trawienia temu zbójowi i że główną przyczyną jego niewiary w Boga stanowi ta okoliczność, iż dal ludziom tylko dwie nogi, czem go pozbawił przyjemności ucięcia pacyentowi trzech nóg naraz. Oskarżała go o brudną chciwość, o skąpstwo niesłychane, wspominała iż zacząwszy z niczem prawie, posiada dziś olbrzymi majątek, pielęgnując li bogaczów, którzy byli w możności płacić mu po dziesięć tysięcy franków za operacyę. Siostra Marja jednak, mając słuch dobry, podsłuchała dnia pewnego i dowiedziała się z najlepszego źródła, że był hojny, wspaniałomyślny, że pielęgnował za darmo wielu, bardzo wielu biedaków, że zresztą nie brał ani centyma z pensyi, należacej mu się jako dyrektorowi szpitalu, że oddawał całą tę znaczną sumę swoim pacjentom, którzy wychodząc ze szpitala, nie byli w stanie kupować drogich lekarstw, jakie on im zapisywał. Siostra Marja nie wiedziała co myśleć o tem, i czego się trzymać, nie sprzeciwiała się jednak w niczem drażliwej ciotuni. Raz z rana, matka Amelja miała dość żywą sprzeczkę z panem Cantarel. Gdy w chwilę później zeszła się sam na sam z siostrą Marją, nie mogła wytrzymać, żeby jej nie rzucić mimochodem, tych słów gniewnych:

— Szpital, to miejsce przeklęte, gdzie szatan bierze górę nad bóstwem wcielonem!

Szatana reprezentowali lekarze ogólnie, a specyalnie pan Antoni Cantarel, bóstwem zaś tak srodze pokrzywdzonem, były Augustynki, a może tylko matka Amelja. Według zwyczaju, spostrzegła natychmiast, iż wyrwały jej się słowa cokolwiek za śmiałe, i przeżegnała się z wielkim rozpędem. Siostra Marja była nadto dobra, aby ciotkę łapać za słówka, pominęła zatem ten frazes nie zbyt bogobojny, tylko nie mogła jakoś uwierzyć w szatana, była to jej jedyna herezya. Czy był zresztą poplecznikiem szatana, czy nie, jej dziadek Cantarel budził w niej z każdym dniem prawie większą antypatyę.

Nie zdawał się domyślać tego i w ogóle nie zwracał na nią uwagi, jakby siostra Marja na świecie nie istniała. Pół roku minęło, a przez ten czas każdego ranka, przesuwała się koło niego, nie spotkawszy się z jego wzrokiem. Zdawał się jej wcale nie widzieć, tak przynajmniej sądziła, nie spodziewając się, iż ten człowiek, miał oczy i w tyle głowy.

Nadeszła jednak chwila, że nagle, bez wstępu żadnego, do niej się odezwał. Było to dla siostry Marji nie lada wydarzenie, które zmięszało ją w najwyższym stopniu. Zabierał się do bardzo trudnej operacyi, miał wykroić z piersi kobiecej twardość, która powstała z uderzenia pokarmu. Asystent podał mu nóż nowiuteńki, na którego rękojeści były ozdóbki rozmaite. Spojrzał z uśmiechem na instrument i rzekł:

— Fiu! fiu! co za elegancya, kochany Ryszardzie! Nóż przystrojony jak pan młody do ślubu.

Zbliżył się do pacyentki. Tej nic nie wspomniano o potrzebie operacyi, wodziła więc w około wzrokiem błędnym i przerażonym. Gdy się dowiedziała o co idzie, zaczęła krzyczeć, protestować, żądała zwłoki, której atoli lekarz odmówił. Spytała więc, czy jej nie zachloroformują? Pan Cantarel odrzekł, że to jest niemożebnem, a on już wie dla czego. Nie mogła pogodzić się z koniecznością nieubłaganą, zaczęła rzucać się i szamotać. Sześciu ją przytrzymywało, ten schwycił za głowę, tamci za ramiona, inni za nogi. Była jednak silna, i doprowadzona do rozpaczy, rzucała się mimo to konwulsyjnie. Pan Cantarel skinął na asystenta, który trzymał szkatułkę z instrumentami.

— Znajdziemy kogoś, kto pana w tem wyręczy.. proszę zaprządz się do lewej nogi.

W tej samej chwili, przesunęła się siostra Marja. Odgadła na co się zanosi, i przerażona z góry jękami straszliwemi, które usłyszy, chciała się wymknąć z sali niepostrzeżenie. Ktoś na nią zawołał:

— Hola! Chodź no tu panienko! Potrzebujemy twojej pomocy.

Stanęła jak wryta. Ten sam głos dodał z naciskiem:

— Czyś mnie nie słyszała, siostro Marjo?

Nie mogła wątpić, że ową panienką była ona. Tracąc

niemal przytomność, z twarzą pałającą, zbliżyła się zwolna. Pan Cantarel rzekł sucho:

— Proszę trzymać szkatułkę z instrumentami i dobrze oczy otworzyć.

Spełniła rozkaz, radaby była jednakże, aby się w tej chwili ziemia zapadła i ją pochłonęła. Gdy uczuła zgrzyt noża w ciele operowanej, która teraz już ani drgnąć nie mogła, wydała krzyk ostry i zawołała głosem rozdzierającym:

— Boże! Boże mój! serce mi wydzieracie!

Pan Cantarel odrzucił niecierpliwie:

— Ani tknąłem się twego serca, moja panno!... Nienawidzę wszelkiej przesady.

Ledwie przez pół żywa siostra Marja, patrzała jak przez mgłę Czuła omdlenie we wszystkich członkach, wyprężyła się z wysiłkiem nadludzkim, aby ustać na nogach. Nie wiedząc co się dzieje, podała panu Cantarel lancet, zamiast szczypczyków, których zażądał.

— Proszę lepiej uważać! — skarcił ją surowo — Przeszkadzasz mi mościapanno, zamiast pomagać.

Na szczęście pacyentka przestała krzyczeć, popadłszy w omdlenie, a i siostra Marja do końca trzymała się walecznie na nogach. Po operacyi uciekła jak złodziej, na nic więcej nie czekając i nawet głowy nie odwróciwszy.

W godzinę później, asystent, który ją szukał wzrokiem po całej sali, zbliżył się szybko i rzekł:

— Siostro, arcykapłan pragnie z tobą mówić i czeka na ciebie w swoim gabinecie. — Zrazu myślała, iż z niej żartuje. — Ależ idź pani — dodał z uśmiechem — przecież ciebie nie zje!

Zmięszana i zdziwiona, pobiegła do ciotki pytając, co ma uczynić.' Matka Amelja żywo odpowiedziała:

— Cóż cię wstrzymuje? Czyż tego nie rozumiesz, iż Bóg nastręcza ci sposobność wyznania twojej wiary?

Zdobyła się więc na odwagę i poszła do gabinetu. Minąwszy wąski i ciemny kurytarzyk, zatrzymała się chwilkę aby tchu schwycić w pierś ściśniętą.

Serce biło jej gwałtownie, tak ją trwożył ateusz. — Weszła nareszcie. Dziadek jej siedział na fotelu i trzymał głowę w obu dłoniach. Gdy ją podniósł uderzyła siostrę Marję, twarz starca blada śmiertelnie.

— Czy panu niedobrze? — cicho spytała. — Może bym mogła być mu w czem pomocną?

Zdawał się być tem pytaniem dotknięty do żywego; jak można go było posądzić o słabość choćby przemijającą. — Wyprostował się i zamiast odpowiedzieć, spytał:

— Czy nie raczyłabyś mi wytłumaczyć, skąd się tu wzięłaś?

Nie zrozumiawszy znaczenia tych słów, odpowiedziała ku drzwiom się cofając:

— Powiedziano mi, iż pan życzysz sobie ze mną mówić Wydało mi się to wprawdzie nieprawdopodobnem, jestem atoli nadto łatwowierną. Chciej pan mi przebaczyć omyłkę mimowolną

Zatrzymał ją wzrokiem i ruchem ręki.

— Powiedziano ci szczerą prawdę, nie chciałem jednak mówić z siostrą Marją, tylko pragnąłem zobaczyć moją wnuczkę, pannę Jettę Maulabret i ją to proszę o wytłumaczenie, z jakiej przyczyny umieściła się w szpitalu?

Znalazła się w kłopocie nie lada, przezwyciężywszy jednak wrodzoną nieśmiałość, odrzuciła tonem stanowczym:

— Czy pan nie wierzysz w moje powołanie?

— Oh! bynajmniej! — zaprotestował na poły dobrodusznie, na poły z lekkim odcieniem ironji — zewsząd słyszę spiewane na cześć twoją hymny pochwalne, a i sam nieraz widziałem cię przy robocie... Nie dodam ani słowa więcej, aby nie obrazić twojej skromności.. Dość zresztą popatrzeć na twój fartuch, aby osądzić, iż się wcale nie oszczędzasz, że chwytasz nie pytając wiele, za zimne i za gorące. Fartuch twojej ciotki, jest wiecznie czystości niepokalanej, przeciwnie twój białości dość podejrzanej, co dobrze świadczy o tobie. Jedno mógłbym ci tylko zarzucić. Moi uczniowie i asystenci, nadto się tobą zajmują, za często patrzą na ciebie, przez ciebie bywają nieuważni i roztargnieni.. No i z krwi widokiem, nie mogłaś się dotąd oswoić. Przed chwilą...

— Przyzwyczajenie sił mi doda.

— Hm! hm!.. zapewne! przyzwyczajenie wiele znaczy!.. Mimo jednak wszelkich pozorów i cokolwiekbyś mogła mi powiedzieć, nie uwierzę, żebyś była stworzona do życia w szpitalu. Lękam się, czy ci głowy nie zawrócono andronami... Czy sądzisz, tak samo jak matka Amelja, że religja jest rodzajem towarzystwa asekuracyjnego, które zabezpiecza od mocy piekielnych?... Ale może ja ci tem przykrość sprawiam?...

— Nawet bardzo wielką — rzekła łagodnie.

— Niegodziwy ze mnie człowiek!... A tak szczerze postanowiłem niczem ciebie nie zasmucać. Pokusa była za silna i uległem, a skoro raz zacząłem, przedstawię ci jeszcze, jeżeli już koniecznie chcesz krzyż dzwigać.. uważasz?.. wszak mówię twoim własnym językiem... oh! moje biedne dziecię na to nie trzeba koniecznie zamykać się w szpitalu, wszędzie znajdzie się praca, walka i cierpienie I małżeństwo jest częstokroć krzyżem, można by ci wyszukać takiego męża, który by był orzechem nader twardym do zgryzienia... Znam takiego.. Może byś i ty miała ochotę poznać go? — Spojrzała na niego z bolesnym wyrzutem. — Nie chcesz? W żaden sposób? Szkoda.. Moja panno, ubolewam nad tobą całem sercem.

Miała żal do niego, że ją panną zatytułował, była oburzona na jego propozycję, którą znajdowała wielce nieprzyzwoitą, biorąc ją za żart niewczesny, w końcu czuła się dotkniętą do żywego jego tonem ironicznym. Odpowiedziała coraz się więcej zapalając:

— Pan nademną ubolewasz? Sądziłam, iż pan nie potrafisz odczuć litości.

— Ho! ho! — wykrzyknął wesoło, gładząc dłonią siwiejące faworyty. — A tom dostał!... Znajdujesz więc, iż jestem dla moich chorych okrutnym i bez miłodzierdzia?

— Tych wyrażeń nigdy bym nie użyła. Wiem aż nadto dobrze, jak pan nienawidzisz przesady.

Zrozumiał przymówkę i rzekł z uśmiechem:

— Bardzo się cieszę, żem cię tu sprowadził, choć raz w życiu ktoś mi dobrze głowę zmyje. Cóż chcesz? Są dwa rodzaje operatorów, delikatnisie i rzeźnicy. Ja bo nigdy w życiu nie bawiłem się w delikatność, urodziłem się rzeźnikiem i do końca życia będę rznął, gdzie tego zajdzie potrzeba... bez miłosierdzia! — Po chwili dodał niemal uroczyście: — Pierwszym naszym obowiązkiem, wierz mi dziecię, jest dobrze wykonywać swoje rzemiosło. Znasz Celsusa, siostro Marjo? Pisał on za panowania cesarza Tyberjusza. Ten tedy zapowiada z góry, iż chirurg może być człowiekiem najłagodniejszym w świecie, aż do chwili

w której nóż bierze w rękę, ale gdy raz się w niego uzbroi, nie powinien ani widzieć, ani słyszeć, inaczej źle by wykonał, to, co ma zrobić. Bywają operatorowie, siostro Marjo, których krwiotok tak przeraża, iż z wielkiego pospiechu psują wszystko: człowiek który nie panuje nad sobą w obec krwi płynącej, nie powinien brać się do operacji. Znam innych, których krzyki niepokoją, a przecież krzyk, to rzecz doskonała, skoro sprawia ulgę choremu. Są i tacy, którzy przez źle zrozumianą czułostkowość, nadużywają chloroformu, a bywają wypadki, gdzie chloroform wcale nie działa, lub działa zabójczo. Jest to gwałtowna trucizna dla piersi osłabionych, ta zaś biedaczka, którą przed godziną operowałem, ma już płuca lekko zaatakowane.

Nic nie odpowiedziała, była przez pół rozbrojona. Nagle przypomniała sobie list ojca, i to serce, które szło już na lep, umocniło się w swojej antypatji. Zdawał się odgadywać jej myśli najskrytsze i tak przemówił:

— Masz słuszność, iż mnie uważasz za człowieka twardego, bez serca. Nie chciałem być twoim opiekunem... Rzeczywiście, jestem potworem!

Umilkł na chwilę. Nie spuszczał jednak z niej wzroku, zdawał się patrzeć z prawdziwą przyjemnością na tę białą szatę, na to blade czoło, na te lice rumieńcem pałające, na świeże usteczka, na których dotąd nie dostrzegł uśmiechu.

— Niczego odemnie nie żądasz? — zapytał tonem dobroczynnym, niemal ojcowskim. — Nie mógł bym ci oddać jakiej przysługi?

— Żadnej panie! Chcę tylko pozostać jutro, czem jestem dzisiaj i tak da'ej, aż do końca..

— Ejże! I nie żal ci niczego?

Była niby to dziecko, które straszą wilkołakiem, a które się przekonywa, iż to jakieś poczciwe wilczysko, pełne dlań życzliwości. Teraz wreszcie zdecydowała się uśmiechnąć

— Rzeczy jedynej, której mi żal, nikt mi oddać nie może.

— Cóż to takiego?

— Żal mi ogródka, który posiadałam będąc na pensji

— A! miałaś tam ogródek?.. Lubisz kwiaty? Któryż przekładasz nad inne?

— Chryzantynum.

— Djabelny gust! — strzepnął palcami. — Gdybyś się jednak inaczej namyśliła, gdybyś chciała z czem się udać do mnie... nie trać czasu, gdyż tobie się z tem zwierzam jedynie... czuję w łonie chorobę, która nie przebacza... dni moje policzone.

— I na tę chorobę nie ma lekarstwa? — wykrzyknęła, do głębi wzruszona.

— Nie wierzę w nic, tylko w nóż Zacytowałem ci Celsus'a, teraz jeszcze wspomnę o Galien'ie. Powiedział on, iż najcudowniejszym lekarzem jest natura, bo leczy w trzech czwartych choroby, a nie obmawia swoich kolegów Otóż natura nie jest w stanie wyleczyć z raka w żołądku i za trzy miesiące nie będzie mnie już między żyjącymi. Może i z tego powodu n'e chciałem się podjąć opieki nad tobą

Serce jej się ścisnęło gwałtownie, czuła dziwny przewrót w umyśle, przyznawała w duchu, iż się omyliła; jednocześnie atoli przypomniał jej się nakaz surowy matki Amelji, powinna była wspomnieć o Bogu temu ateuszowi, który miał umrzeć za trzy miesiące. Na nieszczęście słów jakoś dobrać nie mogła i wrodzona jej skromność, ubezwładniała do reszty jej wymowę. Kim-że była aby dawać nauki temu człowiekowi, który umiał tak wiele?

I tym razem odgadł, co się w niej działo, rzekł więc śmiejąc się serdecznie:

— Przyznaj się, iż giniesz z chęci nawrócenia mnie przed śmiercią To trochę za trudne zadanie. Tylko w romansach angielskich takie, jak ty dziewczątka, nawracają starych lekarzy.

— Ah, panie! a gdyby naprawdę za trzy miesiące...

— Śmierć nastąpiła? To i cóż? Czemże jest śmierć? Procesem chemicznym.

— A potem? — szepnęła.

W oczach arcykapłana łysnęła błyskawica i wykrzyknął głosem na wskróś przenikającym:

— Potem?... Nic, nic, nic!

To słowo trzy razy powtórzone, wypadło z ust jego, jak wpada nóż gilotyny w swój karb i stało się! Wszystko zniknęło, śladu nawet po sobie nie zostawiwszy. Osłupiała, oniemiała z przerażenia.

— Daremna rzecz — odezwał się po chwili — jesteśmy skazani, aby dziwić jedno drugiego, aby nawzajem nad sobą ubolewać, a to wszystko może tylko dla tego, że się nie rozumiemy. Jednak jestem pewny, iż zgadzamy się w czemś jednem przynajmniej. Wszak myślisz tak jak ja, iż takie jest życie najpiękniejsze, w którem spełnia się powinność do chwili ostatniej. Gdybym wierzył w Boga, zamęczał bym go prośbami i nie jednę bym w tym celu odprawił nowennę, żeby mi zesłał łaskę najwyższą i pozwolił umrzeć na placu boju. — Wstał, założył na głowę kapelusz; zanim jednakże odszedł: — Umierający — rzekł łagodnie — miewają fantazje rozmaite. Jeden chce koniecznie usłyszeć ten lub ów kawałek odegrany czy odśpiewany, inni pragną woni kwiatów ulubionych ty, gdy staniesz na tym punkcie, zażądasz prawdopodobnie wazonka z chryzantynum. Zdaje mi się, iż w chwili skonu, widok twój, siostro Marjo, sprawiłby mi radość prawdziwą Czy otrzymasz pozwolenie od twojej strasznej ciotki, odwidzenia mnie przed skonem?

— Będę o nie błagała najusilniej, proszę o tem nie wątpić — odpowiedziała, z rękami na piersiach zkrzyżowanemi, z głową kornie pochyloną — i odeszła

Zmysły niemal traciła. Ta rozmowa sprawiła w jej główce chaos niesłychany, wywróciła niejako do góry nogami cały jej pogląd na życie i ludzi. Wyspowiadała się z tych wrażeń przed matką Amelją.. Ta, wysłuchawszy jej z uwagą, wzruszyła li ramionami i gniewnie mruknęła:

— Wielki komedjant!

Przez następne miesiące siostra Marja widywała dziadka codziennie, w godzinach obowiązkowych spełniającego powinności swoje skrupulatniej niż kiedykolwiek Nie nadarzyła jej się więcej sposobność rozmowy z nim, zadawalniał się li patrzeniem na nią niekiedy z boku. Uderzała ją nieraz jego bladość, która mimowoli zdradzała straszne cierpienia. Umysł jego dotąd był jasny zupełnie, zajmywał się chorymi tak gorliwie, jakby sam był najzdrowszy w świecie, oddawał się namiętnie swojemu zawodowi, jakby miał przed sobą lat dwadzieścia życia, a on miał umrzeć za trzy miesiące i w nic nie wierzył. Ten dziadek był dla siostry Marji zagadką niezgłębioną. Pogoda w jego twarzy dziwiła ją i niemal przerażała, koniec końców, jakby na przekór wszelkim zarzutom, które przeciwstawiała, nie mogła się wstrzymać od podziwu i czci dla tego człowieka i musiała przyznać, że w tym komedjancie, jest coś w rodzaju bohatera.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

V.

Pat.

Tankred był jednym z tych, którym służyć się zwykło w oka mgnieniu, z najwyższą uległością i uszanowaniem!..

Na obróceniu zatem stół był nakryty, a przed hrabią stał pasztet z dziczyzny, chleb, owoce, i butelka *Porto* wyśmienitego. Równocześnie zaczęła się ścisła indagacya.

— Powiedz mi no jegomość, jak stąd daleko do *Gourgane Barra?*

Tam była stała siedziba O'Connora.

— Trzydzieści pięć mil irlandzkich, wasza wysokość!... czyli dwanaście francuzkich.

— Doskonale! Cała zatem droga, potrwa zaledwie kilka godzin Wóz pocztowy idzie tamtędy?

— Mieliśmy dawniej jeden, ale kilka razy go zatrzymano, zrabowano, i teraz lękają się jechać tamtędy... To już całkiem w górach!...

— A więc powóz pocztowy... wreszcie choćby konia, byle dobrego!

— I z tem nie łatwo pójdzie! — oberżysta rozłożył rozpaczliwie ręce, tłuste jak poduszki, i ściągnął ramionami. Rząd wszystkie konie zarekwirował, pod nowe pułki dragonów, pod swoich *Fencible* i innych tym podobnych raków czerwonych, żeby ich jasne pioruny!... nie zapominając o czarnych..

— Ah! Więc macie tu i czarnych huzarów?

— Oj! przyszli do nas z za Renu! djabli ich nam przynieśli, pewno od nich nie czarniejsi! Życzę waszej wysokości, nie spotkać się z nimi... Każdy z nich bandyta! rozbójnik!...

— Oh! znam ich na wylot! — mruknął hrabia z krwią najzimniejszą, sięgając coraz głębiej w przepaści pasztetowe. — Ale wróćmy no do mojego rumaka!

— Proszę łaskawie zaczekać, — rzekł gospodarz, i jakby sobie coś przypomniał, w czoło się uderzył. — Zaraz krzyknę na Pat'a.

— Pat? A to co za jeden?

— Mój służący, wasza wysokość!... Pat w skróceniu od Patrick'a wielkiego Irlandyi patrona... U nas już taki zwyczaj... Ah! czasy ciężkie... choć z bolem serca, musiałem biedaka odprawić z Bogiem... Prawie nikogo z podróżnych... Ale Pat, kręci się gdzieś zawsze koło domu niedaleko w nadziei, że go może kto na co potrzebować... Ot! właśnie siedzi nad brzegiem, łowiąc ryby na wędkę.. Toż to się poczciwiec ucieszy!.. Hej! Pat!... chodź no tu a żywo!

Pat stojąc nad wodą z długą żerdzią w ręku, w mgle porannej, odbijał od nieba lazuru, jakby czapla olbrzymia.

Na głos dawnego pana, wykręcił się na pięcie, skoczył w górę z wielkiej radości, przez plac dzielący go od hotelu leciał w susach jak zając, na pierwsze piętro dostał się biorąc po cztery schody naraz i drapnął o drzwi jak pies łapą.

— Wejdź tylko! — krzyknął Filip.

— Na nogach czy na rękach? — odezwał się głos z po za drzwi.

— Jak ci się podoba!

Pat wszedł w samych koziołkach, niby *clown* angielski z cyrku. Stanął wreszcie na nogi i skłonił się nisko jak artysta, oklaski zasłużone odbierający.

Było w nim coś tak niesłychanie komicznego, że Tankred nie mógł się wstrzymać i śmiechem szalonym wybuchnął.

Musimy z góry zapowiedzieć, że Pat łączył w sobie wszelkie wady i przymioty ludu irlandzkiego. Był to typ prawdziwy owego biednego *paddy*, z warstw najniższych społeczeństwa, jak szkielet chudego, wiecznie głodnego, efronta, dowcipnisia, w ciągłym ruchu, który każdej chwili gotów śmiać się i płakać na przemian; we wszystkiem przesadny i namiętny, gadatliwy, fanfaron, grzeczny, naiwny, łagodny i dobry... jednem słowem antypoda *John Bull'a*

Jak kot lekki i zwinny, a jak chart długi, Pat miał ręce i nogi, nigdy się nie kończące, od których Bóg widocznie miarę zgubił, oczka małe, bystre i świdrowate, gębę od ucha do ucha, nos jak trąbę a włosy kanarkowe.

Nic śmieszniejszego niż strój na nim!

Nosił liberyę niegdyś ponsową z zielonem, obecnie atoli okropnie wypełzłą i obszarpaną Ile tam było plam i dziur! Gdzie niegdzie świeciły dotąd kawałki galonów. Pat nosił niemniej te łachmany, z dumą nieboszczyka *Ataban'a*!

Mówił z szybkością zdumiewającą, nie szczędząc wykrzykników, któremi tak szczodrze ozdabia swój język prowincjonalny mieszkaniec zielonego Erinu. *Oh Arrah*! *Muska-Ma Bouchal*! *Brrrou*! *Hillou*! *Hillouhou*!

— Jak najdłuższego życia i panowania życzę waszej wysokości! — wykrzyknął jednocześnie z niskim ukłonem. — *Arrah*!... otóż jestem na usługi! na rozkazy! Co Pat ma uczynić dla waszej wysokości? Czy po mieście oprowadzić, usłużyć przy stole? Jestem gotów, choćby dać sobie głowę uciąć!

Jegomość Filip, uspokoiwszy go nieco w służbowym zapale, wytłumaczył, o co im właściwie idzie i czego na razie potrzebują.

— *Hillou*! — trzepnął w palce — Pat wystara się o konia. Rumak pyszny. Cud prawdziwy, że go jeszcze nie zabrali do dragonów. Chciano by go sprzedać za pół darmo! Sześć funtów szterlingów. Jeżeliby zaś szło o wynajęcie, za dzień podróży po cztery szylingi

— Wezmę go więc na dnie tymczasem — rzekł Tankred. — Jeżeliby mi przypadł do gustu, może bym go później i kupił...

— I przewodnika razem? — spytał chłopak. — Wasza ekscellencya musi przecież mieć przewodnika. Dla czego by nim nie miał być Pat biedaczysko? Któż jest tak jak on rodziną obarczony!

— Ależ nie mógłbyś mnie nastarczyć piechotą — hrabia zauważył.

— *Brrou*! — zatrząsł się Pat, wyciągając naprzód nogi jak szczudła. — Oto moje do jazdy instrumenta! najszybsze na całe hrabstwo. Wasza wysokość niech tylko raczy się przekonać, jak one potrafią galopować. Na kiedy potrzeba konia... wraz z przewodnikiem?

— Za pół godziny. Tu masz na zadatek. Dam drugie tyle, jeżeli wrócisz się jeszcze prędzej.

Wsunął mu w dłoń kilka szylingów.

Twarz biednego *paddy*, natychmiast wyraz zmieniła. W oczach radość błysnęła. Podniósł do ust pieniądze. Szepnął z rzewną wdzięcznością:

— Bądźcie błogosławione, szylingi boże!... Gdy Pat uda się w podróż, u niego w domu będzie ogień na kominku, i ziemniaki pieczone!

I nie otarłszy nawet łez, które mu spływały obficie po twarzy chudej i zapadłej z głodu i nędzy wszelakiej, zniknął za drzwiami w podskokach, wrzeszcząc na całe gardło:

— Oh! *Arrah*! *Musha*! Ziemniaki i placki owsiane w domu biednego Pat'a! Ha, ha, ha! *Ma Bourhal Hillou*!

Tankred był do głębi przejęty tą dziwną mięszaniną błazeństwa i czułości. Jegomość Filip wytłumaczył mu tę zagadkę frazesem nader filozoficznym:

— Ciało w nim nędzne i niemal potworne, ale dusza czysta i na wskróś uczciwa. Wasza wysokość może mu śmiało zaufać.

Hrabia kończył zaledwie śniadanie, gdy Pat był już z powrotem, prowadząc konia jasno-kościstego.

— *Arrah*! zawołał — Oto jesteśmy obydwaj, jeden chudszy od drugiego! W Irlandyi zwierzęta jak i ludzie, nie codzień jadają. Ale nie mniej służyć będziemy jak się należy.

Hrabia kazał dać podwójną porcję owsa swojemu rumakowi; Pat zaś dostał resztki śniadania.

Poney i człowiek zajadali na wyścigi; hrabia tymczasem poszedł do siebie, zamknął podróżną walizkę, przypasał szpadę, obejrzał starannie pistolety, upewnił się, iż list Hoche'a jest na piersiach zaszyty za podszewką w sukni podróżnej i wrócił do sali jadalnej aby rachunek zapłacić.

Gdy wskoczył już na siodło, oberżysta podał mu ceremonialnie puhar kryształowy, tego kształtu podłużnego co dawne kieliszki do szampana, ale mający za podstawę kulę szklanną, wydrążoną, w której najmniej kwaterka się mieściła. Ten kufel olbrzymi, dobry chyba dla pijaków z profesji, był po same brzegi napełniony puntsh'em pomięszanym z whisky.

— Panie hrabio—przemówił uroczyście. - Jest to *droch am durass*, irlandzkie strzemienne. Ktoby z rąk naszych tego zdrowia nie przyjął, obraziłby śmiertelnie każdego Irlandczyka.

Tankred usta zaledwie umaczawszy, oddał kielich przewodnikowi, który uradowany porwał go oburącz.

Oberżysta wmięszał się w tę sprawę.

— Pat! — rzekł nakazując — pamiętaj!

Biedny *paddy* wielce skonfudowany, z okiem wlepionem chciwie i pożądliwie w napój, który już miał przy ustach, osłupiał, nie wiedząc co począć z tym fantem.

— Dla czegoż nie ma wypić biedaczysko? — hrabia spytał z wyrzutem.

— Bo przysiągł!

— Przysiągł? I na cóż to?

Przybierając ton i minę coraz więcej uroczystą, oberżysta odezwał się w te słowa:

— Aby godnie odpowiedzieć na zarzut pijaństwa, którym nam śmią ciskać w oczy Anglicy, ci najsławniejsi na całym świecie opoje! My mieszczanie w Cork, wymagamy od naszej służby przysięgi na wstrzemięźliwość od wszelkich trunków gorących. Pat jest moim sługą i przysiągł, że nie będzie pił *whisky* w moim domu.

Pat stojący przy samym progu stanął czemprędzej przed domem i kielich do ust podniósł.

Jegomość Filip zawołał równie żywo:

— Ani w domu! ani za domem! Tak przysiągłeś i pamiętaj dotrzymać obietnicy, bo twoje słowa, sam Bóg w niebie zapisał!

W Irlandji jak i wszędzie zresztą, można i z niebem wchodzić w pawne układy. Biednemu chłopakowi strzeliła do głowy myśl genialna. Jednę nogę zostawił na dworze, drugą nazad do sieni przesadził i w tej postawie klasycznej *Kolosa Rodyjskiego*, kielich gracko wychylił. Po czem wydał okrzyk radości:

— Ani w domu! ani za domem! Ja też właściwie piłem nigdzie! ani tu! ani tam! — machnął ręką na prawo i lewo -- Pat sobie tęgo podjadł! Pat popłukał należycie. Jest zupełnie zadowolony!

Klaszcząc w dłonie i całusy od ust posyłając, zaczął tańczyć *Jig'a*, taniec odwieczny ludu irlandzkiego.

Oberżysta gniewem zakipiał. Porwał chłopaka za ramię, a zmusiwszy gwałtem do zaprzestania dzikich skoków:

— Nieszczęsny! — zawołał patetycznie — pamiętaj, że wszelka nędza i ucisk Irlandji pochodzi z jej błędów, z których nie chce się poprawić i że trzeba być trzeźwym aby następnie zostać wolnym! Są to własne słowa O'Connor'a

Na to nazwisko Tankred drgnął nieznacznie. Oberżysta zaś ugryzł się w język i trwożnie w około obejrzał. Kilka osób właśnie nadchodziło, położył więc palec na ustach. Drugą ręką jednak, trzymał silnie za kark chłopaka.

— Zanim puścisz się w drogę, Pat, powtórzysz przysięgę, ale jeszcze bardziej zaostrzoną. Oto wyrzekniesz się trunków przez całe twoje życie, jak długo będziesz na ziemi.

— Jak długo będę na ziemi! — powtórzył Pat pokornie, zupełnie na pozór zrezygnowany.

Odjechali.

Człowiek w kaftanie zielonym dotąd nie był wcale widzialnym. Gdzieś indziej zawieruszył się widocznie.

VI.

Przez drogę.

Nie masz nic równie pięknego, równie czarującego, jak Eryn zielony, tylokrotnie przez poetów sławiony i opiewany.

„*First flower of the earth*
First gem of the sea."

„Kwiat najwonniejszy na ziemi, najkosztowniejsza perła w morzu." Oto jak o Irlandji mówią poeci, i co o niej myślał Tankred, jadąc zwolna na chudym rumaku, drogą prowadzącą do Gourgane-Barra.

Był to prześliczny jasny ranek październikowy, ostatni uśmiech jesieni. W koło naszych podróżnych oko tonęło w morzu zieleni; pagórki okryte lasami szpilkowemi, łąki szmaragdowe, chmielarnie i całe obszary zasiane *Schamrock'iem*, piękną irlandzką koniczyną. Wszędzie jak w Normandji, droga wysadzana owocowemi drzewami, z których Pat bez ceremonji rwał jabłka i śliwki zjadając po drodze

Pat poczciwy był w siódmem niebie. Nie tylko nastarczył w biegu leniwemu rumakowi, ale z częsta wyprze-

dzał go i nazad powracał, jak pies gdy wpadnie w dobry humor. W każdej wsi, przy każdej napotkanej ruinie zamku rycerskiego, lub dawnego klasztoru, sypały mu się jak z rękawa legendy i opowiadania. Kiedy niekiedy śmiechem wybuchnął, to znowu zaintonował jaką smętną ludową piosenkę.

Gdy jednak wjechali w dolinę, gdzie dotąd nie tylko owsy stały na pniu, zaledwie trochę pożółkłe, ale nawet żyto nie było zebrane, rzecz niesłychana w porze roku tak spóźnionej, twarz przewodnika smutkiem się powlekła.

— Zły rok! — mruknął ponuro — lało jak z cebra przez całe lato, aż do połowy września. Nigdy słońca promienia! *Arrah!* Zboże przecież nie dojrzeje przy świetle księżyca! I ziemniaki przez pół zgniły! Ciężka zima nadchodzi! Czem tu wyżywić nasze biedne rodziny!

— Ejże! — zaśmiał się Tankred — słyszę ciągle, jak się chwalisz rodziną, niby tatuś posiwiały i upadający pod brzemieniem lat i dzieci!.. W jakim że ty wieku być możesz?

— Lat dwadzieścia i dwa.

— A dzieci już masz?

— Siedmioro, wasza wysokość Ale to wszystko siostrzyczki i braciszkowie Peggy.

— Jakiej znowu Peggy?

— Mojej narzeczonej. Mieliśmy się właśnie pobrać, gdy jej ojciec poczciwy z kościami, został przyaresztowany w jednym z oddziałów powstańczych i dragoni powiesili biedaka na pierwszej lepszej gałęzi. Wdowa wkrótce po nim umarła ze zgryzoty. Peggy, siostra najstarsza, została sama jedna w tem gniazdku pełnem piskląt. Wskazała ręką na te wszystkie główki, cisnące się do jej kolan i dzióbki otwarte, dając mi do zrozumienia, że teraz niewolno jej myśleć o małżeństwie, skoro została od razu matką siedmiorga malców gotowych. *Ma Bouchal*! byłbym ją zjadł z miłości, taka mi się wydała ślicznintka! Zawołałem malców; posadziłem na kolana, na ramiona, na głowę, a całując i przez nich ściskany do uduszenia, krzyknąłem: „Będę im ojcem!“ — I jestem nim najuczciwiej! Za kilka miesięcy, Peggy skończy żałobę, a wtedy się pobierzemy, mając siedmioro dzieci na zadatek. Jeżeli i nam samym tak się po szczęści... *Hillo-hou*! niechże wasza wysokość sama osądzi, czy nie powinien mnię obchodzić zbiór ziemniaków.

To rzewne tłumaczenie, wzruszyło niezmiernie Tankreda. Odwrócił się, aby nieznacznie łzę otrzeć, gdy w dali dał się słyszeć tętent kilku jeźdźców.

Wkrótce spostrzegli dragonów na koniach, w mundurach ponsowych.

Było ich tylko pięciu; prosty patrol.

Mimowolnie Gaillefontaine sięgnął w zanadrze po pistolety, w czas jednak sobie przypomniał, jaką ma misję do spełnienia. Jest obecnie dyplomatą, nie żołnierzem, powinien więc czekać cierpliwie.

Dragony musieli również zobaczyć podróżnego, bo z kłusa przeszli w galop i opadli go z wszystkich stron.

Wachmistrz, drab wysoki i ślepy na jedno oko, zażądał paszportu.

— Mam ich aż cztery na usługi — odparł hrabia, z ową grzecznością wielko-pańską, w której był lekki odcień impertynencyi — myślę jednak, iż ten tu wystarczy, jako najświeższej daty. Wydano mi go w Bristol, z pozwoleniem podróżowania po całej Irlandji. Chciej przejrzeć go, panie rotmistrzu.

To pochlebstwo, tytuł i pańskie wzięcie podróżnego, udobruchały dzikiego żołdaka.

— Proszę wybaczyć, panie hrabio! — salutował go po wojskowemu, paszport nazad wręczając, dokładnie go jednak przedtem zbadawszy.

A zwracając się do podkomendnych: — To nie jego rysopis! — mruknął. — Dalej w drogę!

I dragoni pomknęli w kierunku przeciwnym.

— *Brrou*! — otrząsł się Pat, jak kot wodą zlany, chociaż przez cały czas stał jak mur i ani okiem nie mrugnął. Mieliśmy szczęście nie lada! Nie zawsze i nie każdemu, uda się rozprawić tak gracko z djabłami czerwonymi, i każdy chowa się przed nimi jak przed morowem powietrzem ! Proszę tylko tam w bok popatrzeć!

Pat wskazał ręką na pole nad drogą zasiane *Schamrockiem*, z którego kosarze uciekali na widok zbliżających się dragonów, niby stado ptaków wystrzałem spłoszonych.

Nawet i nasi dwaj podróżni niepokoili po trochę wieśniaków. Nie jeden chował się przed nimi po za chatę na pół zawaloną, lub płot z ostu gęsto sadzonego. Nie uszło to i Tankreda uwadze, iż każdy niemal trwożliwie z drogi się usuwa, skoro ich zdala spostrzeże.

— A jednak — badał, aby się obznajomić ze stanem umysłów — chwilowo powstanie zbrojne zupełnie u was stłumiono?

— Och! — Pat machnął ręką. — Zawsze ono bodaj tleje i tlić będzie w Irlandji jak iskierka, w szarym i zimnym na pozór popiele... Po „Dzieciach światła“, „Dzieci sprawiedliwości“ po „Sercach ze stali“ „Serca dębowe“. Ale zawsze otoczeni tajemnicą! niewidzialni! nieuchwytni! Wychodzą z nor i jaskiń tylko podczas nocy czarnych, bez gwiazd blasku i bez światła księżycowego. Spadają jak piorun, mszczą się krwawo za krzywdy doznane.. a nazajutrz z rana... prrrou! niema nikogo! Hillo-hou! złapali panów Anglików! Szukaj że teraz wiatru w polu.

I Paddy śmiechem wybuchając wywrócił z wielkiej uciechy kilka koziołków.

— Słyszałem — zaryzykował hrabia pytanie — słyszałem przed kilku laty, podczas wojny z Ameryką, że rząd pozwolił, ze strachu przed Amerykanami, na uzbrojenie Irlandji, ku jej własnej obronie.

— *Arrah!* było to coś pysznego! — zawołał Pat z zapałem. — Ja nawet miałem strzelbinę. Nazywano nas wolontarjuszami! Aż raptem, roku zeszłego zaczęli nas rozbrajać. *Brrou*!... Nie szło im to z łatwością. Byli tacy, którzy w żaden sposób broni złożyć nie chcieli. Za tymi uganiają się, jak za dzikiemi zwierzętami. Wasza wysokość nie uwierzyłbyś, jakich dopuszczają się w obec nas niesprawiedliwości, czynów okrutnych, najhaniebniejszych! I powtarza to się codziennie, nawet względem ludzi najniewinniejszych. Można by pomyśleć *Ma Bouchal*! że hasłem jest djabłów czerwonych żeby nas popchnąć gwałtem do powstania.

Ciąg dalszy nastąpi).

NAPOLEON BONAPARTE

przez

H. Taine'a.

(Ciąg dalszy.)

Żadne z wierzeń politycznych lub społecznych, wstrząsających ówcześnie ludzkością, nie zdołało opanować go ani na chwilę. Przed 9 termidora zdawał się wyznawać zasady republikańskie; wskutek tego widzimy go przez kilka miesięcy w Prowancyi, jako ulubieńca i poufnego doradcę Robespierre'a młodszego, czciciela Robespierre'a starszego, przyjaciela wreszcie darzonego łaskami Karoliny Robespierre.

Po dacie powyższej jednak zrywa on gwałtownie kompromitujące z nimi stosunki i w obrachowanym na efekt liście, pisze o poprzednim towarzyszu: „Ceniłem go, bo wierzyłem w prawość tego człowieka, dziś wszystko się zmieniło. Gdyby był ojcem mym nawet i sięgał po tyranię, własną bym ręką sztylet w piersi jego zatopił.“

Powróciwszy do Paryża, stuka napróżno do drzwi kilku po to, aby obrać później za opiekuna i przewodnika takiego Barras'a, osobistość najczelniejszą wpośród ówczesnego zepsucia i zgnilizny, awaturnika, który obalił przedtem i zamordował tyloletnich opiekunów młodego Napoleona Nie wzrusza go to; przeciwnie, obojętny na walki fanatyczne i starcia stronnictw, umie pozostać i nadal zimnym; gotowym do czynu, lecz czekającym sposobności, którąby mu pozwoliła zużyć takowy ku własnym tylko celom i własnemu dobru. Gdy, wychodząc 12 vendémiaire'a z teatru Feydeau, ujrzał oddziały wojska szykującego się do boju, na usta jego wybiegł mimowolny okrzyk: „Ach! niech mnie tylko postawią na ich czele, a ręczę uroczyście, iż za dwie godziny zajmiemy Tuilerye i wypędzimy ztamtąd tych nędznych członków konwencyi narodowej!“ — Zawezwany wszakże w pięć godzin później przez Barras'a i tychże samych członków konwencyi, żąda trzech minut tylko do namysłu; wystarczają mu one, aby, zmieniwszy przekonania, osłonić owych przedstawicieli narodu, których zgnieść obiecywał, zasypując w zamian kartaczami Paryż cały. Czyn to godny bandyty, *condottiera* wypożyczającego się za pieniądze, sprzedającego zasady swe i usługi temu, kto więcej daje, po to, aby go opuścić, gdy tylko nadarzy się sposobność zagarnięcia władzy i zysków na własny swój rachunek *Condottierem* również, czyli naczelnikiem bandy zbrojnej, okazał się podczas wyprawy włoskiej, bandytą coraz niezależniejszym, który pod pozorem uległości osobistej i dobra publicznego, załatwia własne interesa i odnosząc wszystko do siebie, jest generałem dla zysku tylko. *Condottierem* pozostał po 18 fructidorze, z tą jedynie różnicą, iż śmiały awanturnik wzdycha teraz do szczebli najwyższych, do szczytów, które tron lub szafot uwieńczyć musiały. Zapalony, niezłomny, nie cofał się przed niczem; celem jego było opanować Francyę, aby przez nią zawładnąć Europą. Zajęty bez przerwy myślą tą jedyną, wstrząsany ambicyą, sypiał trzy godziny zaledwo, drwiąc zaś poprostu z zasad i narodów, z religji i rządów, uważał człowieka za igraszkę w swem ręku, za bawidełko, którem rzucał z nieporównaną zręcznośćią i bezwzględnem brutalstwem. Nieprzebierający w wyborze środków i celów, zręczny do artyzmu, niewyczerpany w pomysłach, posiada on czar dziwny, umie olśniewać i przykuwać, pociągać i łamać najsurowsze zasady, raz onieśmiela, drugi raz budzi zapał, staje się słodkim i strasznym naprzemian, ukochanym lub znienawidzonym, lecz zawsze niebezpiecznym, jak wspaniały zwierz drapieżny, wpuszczony niespodzianie w gromadę spokojnych i oswojonych swych współbraci. Niech nikt słowa tego nie bierze za przesadę, ilustruje ono bowiem dokładnie wrażenie, jakie Bonaparte czynił na współczesnych. Oto, co mówił w owym czasie świadek naoczny i jeden z osobistych jego przyjaciół, znany przytem dyplomata: „Jakkolwiek lubię bardzo naszego drogiego generała, niemniej jednak poufnie nazywam go zawsze małym tygrysem, znajduję bowiem, iż przydomek taki charakteryzuje doskonale postawę jego, zaciętość, odwagę, szybkość ruchów, porywy gwałtowne i wreszcie wszystko, co w określeniu tem można znaleźć dodatniego.“

Z owej także epoki, niezarażonej jeszcze urzędowem pochlebstwem, niezmuszającej do widzenia Bonapartego pod narzuconym raz na zawsze typem, pozostały nam dwa portrety jego, z natury zdjęte: fizyczny, narysowany śmiało przez znanego malarza Guérin'a i moralny, skreślony ręką kobiety wyższego umysłu, która umiała połączyć wszechstronne wykształcenie z taktem i przenikliwością niewieścią. Dwa te wizerunki tak są doskonałe, tak uzupełniają się wzajem, iż jeden zdaje się być ilustracyą drugiego.

„Ujrzałam go po raz pierwszy“ — pisze pani de Staël, — „gdy powracał do Francyi po zawarciu traktatu w Campo-Formio. Uczucie uwielbienia, jakiem mnie z góry przejmował, ustąpiło po chwili wrażeniu dziwnego zalęknienia, obawy nawet. A jednak był to człowiek, nieposiadający żadnej władzy, przeciwnie, dowodzono, iż stanowisko jego jest zachwiane wskutek podejrzeń, kiełkujących przeciw niemu i zręcznie podsycanych w gronie dyrektoryatu, strach przeto, wzniecony w mej duszy, był tylko wynikiem wrażenia wywieranego na otaczających przez jego osobę. Znałam niejednokrotnie ludzi godnych szacunku, spotykałam również dzikich i okrutnych, — postać Napoleona jednak nie przypominała mi żadnym rysem ani jednych, ani drugich. Widując go dosyć często w Paryżu, doszłam wreszcie do przekonania, iż charakter to, niedający się określić słowami, do których już przywykliśmy w życiu codziennem. Nie był on ani dobrym, ani gwałtownym, ani tkliwym, ani okrutnym. przynajmniej nie był nim według znaczenia, nadawanego zwykle utartym tym wyrazom. Istota tak odrębna, o cechach nawskróś oryginalnych, wykluczająca wszelkie z innymi ludźmi porównanie, musiała zdumiewać raczej, a nie pociągać, musiała czynić wrażenie jakiejś organizacyi wyższej lub niższej od prostych śmiertelników. Obejście jego, ruchy, umysł, mowa nawet, noszą na sobie piętno niezwykłe i niepospolite. Sądziłam na razie, że to tylko pierwsze wrażenie, które z czasem rozwiać się musi, lecz złudzenie pierzchnęło wkrótce, Bonaparte onieśmielał mnie coraz więcej, za każdem widzeniem potęgował wpływ swój, stając się zawiłą dla mnie zagadką. Odczuwałam bezwiednie, że olbrzym to z granitu, nad którym żaden poryw serca nigdy nie zapanuje, uważa on bowiem człowieka nie za swego bliźniego, nie za istotę podobną sobie, a za fakt, za rzecz poprostu, służącą do wyniesienia takich jak on geniuszów. Nie umie on ani kochać, ani nienawidzieć, prócz Napoleona Bonaparte nikt dla niego nie istnieje na świecie. reszta — to nawet nie podrzędne istoty, lecz zwykle cyfry tylko. Siła woli jego polega na samolubstwie, podniesionem do szczytu, na niezakłóconem wyrachowaniu egoizmu. Zręczny szuler, potrafił wciągnąć do gry ludzkość całą, aby z czasem nad ruiną jej szach i mat tryumfująco zawołać. Ilebądź razy przemawiał przy mnie, w słowach jego uderzała mnie zawsze jakaś wyższość dziwna, w niczem niepodobna do przewagi, wyrobionej u niektórych osób przez naukę lub umiejętne obcowanie z wykształconemi umysłami, których tyle przecież uświetniło karty dziejowe Francyi i Anglii. Rozprawy też jego, zamiast wykwintnej formy i podniosłości myśli, posiadają prędzej spryt okolicznościowy, przebiegłość, okazywaną zwykle przez myśliwego wobec domniemanej zdobyczy... Czułam w słowach tych ostrze zimnej i nieugiętej stali, która dotknięciem swojem ranić lub mrozić musi, odgadywałam w umyśle wielkiego konsula gryzącą tak nieubłaganą ironię, iż ani myśl piękna, ani czyn wzniosły ostać się przed nią nie mogły; piętnuje on nią własną nawet sławę, pogardza bowiem narodem, o którego uznanie stara się tak usilnie. Konsekwentny aż do drobiazgów, widział przed sobą tylko cel lub środek, ztąd też w złem czy

dobrem działał zawsze z pełną świadomością, słowa rzucone bezwiednie, od niechcenia, obce mu były. Nawskróś praktyczny, nie uwzględniał żadnych praw idealnych, żadnych zasad oderwanych, pojmując rzeczy o tyle tylko, o ile mógł z nich wydobyć korzyść natychmiastową, wszelkie uogólnianie uważał za żart niesmaczny, za wroga swoich interesów."

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Pogadanka.

Lwów d. 30. Stycznia 1888 r.

Każdego, kto w numerze poprzednim czytał powieść „Dwa Obozy" musiał uderzyć wstęp, opisujący urządzenie w szpitalach paryskich. Najwięksi nędzarze, są tam leczeni i pielęgnowani jak królowie. Tak się dzieje w krajach cywilizowanych, u nas zaś, mimo że do cywilizacyi mamy także petensye, nawet hrabiom po szpitalach żebra łamią! Zaiste byłoby to arcykomiczne, gdyby nie było nadto tragiczne! Być jednak może, że wypadek z nieszczęśliwym hr. Izydorem Dzieduszyckim, którego życie całe było jednem pasmem nieszczęść, otworzy nareszcie oczy naszej najwyższej reprezentacyi na braki w szpitalach galicyjskich, gdyż stan dotychczasowy dłużej trwać tam nie powinien. W Kulparkowie łamią żebra obłąkanym i z innych zaś szpitalów wyrzucają na bruk ludzi umierających. A dzieje się to wszystko ze względów oszczędnościowych, bo ani dozorców porządnych nie ma czem płacić, ani chorych nieuleczalnych za co utrzymywać. Co do Kulparkowa to samo doświadczenie powiada, że musi tam jak najprędzej nastąpić rozdział między administracyą zakładu a dozorem nad chorymi i lekarzami. Dr. Neuser prowadził doskonałe gospodarstwo, trzymał krowy, tuczył wieprze, sadził ziemniaki i kapustę, a tymczasem z chorymi robili dozorcy co chcieli Otóż, zdaniem naszem, które niewątpliwie wszyscy podzielą, kto inny powinien zajmować się ekonomją, nie zaś ten, od którego kraj żąda, by cały swój czas wolny poświęcił obłąkanym.

Przechodząc od tej sprawy smutnej do weselszej, zaznaczamy z zadowoleniem że wśród biedy, co nas uciska, Lwów nareszcie zmądrzał, dzięki czemu karnawał tegoroczny nie będzie już tak zbytkowy jak dawniejszy. Wieczorki wełniane z dniem każdym zyskują na popularności, a że młodzież obojej płci bawi się na nich wyśmienicie jest więc nadzieja że stale się u nas utrzymają. Gdybyście panie wiedziały, o ile piękniejszą jest każda panienka w sukience skromnej, pod szyją zapiętej, jeźli ją tylko zdobi młodość i wdzięk wrodzony, niż gdy jak paw przywdzieje jedwabną suknię z trenem i odsłoniwszy pierś do granic niemożliwych, chce tylko widokiem ciała żywego podbijać i zwyciężać — o! gdybyście to wiedziały, ręczę, że każda z was głosowałaby tylko za wieczorkami wełnianemi! Wierzcie mi na słowo, bom stary i doświadczony...

Habemus papam! Mamy nareszcie pomnik Mickiewicza, wprawdzie nie stoi on jeszcze na rynku krakowskim, lecz przynajmniej więcej nie wątpimy, iż kiedyś stanie. Niedawno temu sędziowie oceniający przysłane do Krakowa projekty, przyznali pierwszą nagrodę Godebskiemu, drugą Rygierowi, trzecią Gadomskiemu, między tymi zaś, którzy otrzymali listy pochwalne, znajduje się dawniej uwieńczony Dykas i nasz lwowski Barącz. Projektu Godebskiego nie widziliśmy dotąd, lecz samo już nazwisko arstysty jest dla nas dostateczną rękojmą wartości jego dzieła. Godebski ma talent niepospolity, smak wytworny, prócz tego od lat kilkudziesięciu kształci się na wzorach francuskich, które mimo całej pyszałkowatości Niemiec, nie umiejących prócz koszar stwarzać innych dzieł monumentalnych, wiodą prym w Europie. Skoro nie istnieje jeszcze ani odrębna polska rzeźba, ani nasze własne budownictwo, więc lepiej trzymać się arstysty, który umie patrzeć, myśleć i tworzyć jak wielcy mistrze Zachodu, niż gdybyśmy koniecznie goniąc za oryginalnością, chcieli w czyn wprowadzić w pojęciu wielce malowniczy, lecz w wykonaniu nadto rozczochrany projekt Jana Matejki. Pomnik Mickiewicza, według orzeczenia sędziów, ma stanąć na rynku Krakowskim od ulicy Szewckiej.

Z dalszego świata zanotujemy dziś ciekawe szczegóły o instytucie genjalnego Pasteura.

Pomiędzy miljonowemi legatami, jakie w testamencie swoim przeznaczyła na cele dobroczynne była właścicielka *Au bon marché*, pani Boucicaut, znajduje się suma 100,000 fr., zapisanych na korzyść instytutu Pasteur'a. Suma ta, dołączona do ofiarowanych uprzednio przez słynną filantropkę na tenże sam cel 150,000 fr., zwróciła ponownie uwagę pism paryskich na nowo powstający instytut. Wiadomo, iż swojego czasu tu i tam we Francji podnosiły się głosy przeciwne zamiarom Pasteur'a, a wielu zgoła w urzeczywistnienie ich nie dawało wiary.

Dziś, po świeżych zapisach pani Boucicaut, które same już zapewniają przyszłemu instytutowi 12,000 renty rocznej, a zwłaszcza po świetnym wyniku składki narodowej, do tej pory przeszło 2 milj. fr. wynoszącej, w przyszłość instytutu Pasteur'a przestano wątpić. Wytrwałe zabiegi uczonego zwyciężyły.

Wprawdzie zeszłego lata jeszcze, z powodu ciężkiej choroby Pasteur'a, zdawało się, iż całe przedsiębiorstwo, w braku głównie podtrzymującego je działacza, spełznie na niczem, ale Pasteur, już zdrów, w tych dniach powrócił do Paryża z Arbios, gdzie czas jakiś, jako rekonwalescent przebywał.

Budowa zakładu jego postępuje szybko. Zewnętrzne mury już są wykończone. Pawilony zajmują przestrzeni 10,000 metrów kw. Dwa z nich przeznaczone są na pomieszczenie pracowni, amfiteatrów i sal konsultujących. Instytut nie będzie miał pomieszczenia na szpital, nie jest to bowiem zakład leczniczy, ale szkoła.

Pojedyncze pawilony łączyć będą stajnie, kurniki, psiarnie, klatki na króliki i t. p. Wbrew ogólnemu mniemaniu, zadaniem instytutu, prócz badań nad wścieklizną, mają być studya nad wszelkiemi zaraźliwemi chorobami.

Składać go będą cztery oddziały:

1) Oddział, poświęcony szczepieniu wścieklizny.

2) Oddział, poświęcony szczepieniu wszelkich innych zarazków, po za zarazkiem wścieklizny.

3) Oddział bakterjologji ogólnej.

4) Oddział bakterjologji stosowanej.

Oto czem będzie instytut jedyny w świecie. Koszt wzniesienia go nie przejdzie miljona fr., pozostanie więc przeszło miljon na utrzymanie zakładu, w którym wszyscy pracownicy wraz z mistrzem za godło przyjęli: bezinteresowność.

Zresztą składki napływają ciągle i każdy dzień coś przynosi. Instytut Pasteur'a ma być otwartym w czerwcu r. b.

Szczęść Boże wielkiemu dziełu!

p.

PORADNIK DOMOWY.

Odor z ust.

Pochodzi najczęściej z nieczystych zębów, — zaleca się przeto częste płukanie i wymywanie jamy ustnej letnią ½-procentową wodą karbolową, używając do tego niezbyt twardej szczoteczki. — Pozostałości z potraw za zębami wydłubać piórkiem, słomką lub drewienkiem (zahnstecherem), nie używając do tego nigdy żelaznego narzędzia, jak igły lub t. p. — Również można używać do płukania nadniedokwasu manganu lecz po nim należy natychmiast zęby wyczyścić proszkiem spalonego chleba.

Reparacya pieców kaflowych.

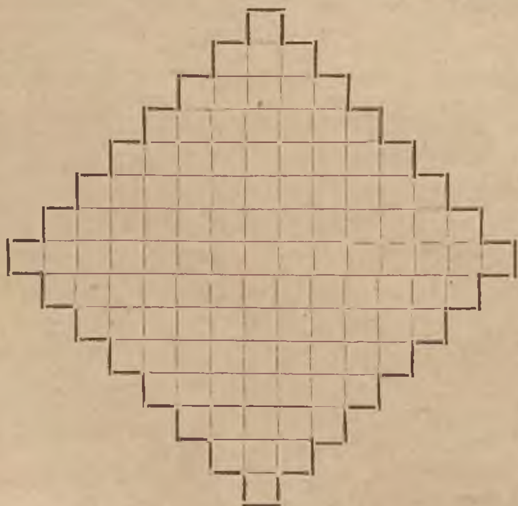
Glina, którą jest obrzucona wewnętrzna strona pieców kaflowych, bądź to pod wpływem gorąca, bądź też wskutek przyczyn mechanicznych, jako to raptownego wrzucania węgli, lub poprawiania ognia pogrzebaczem, pęka powoli, a odpadając stopniowo małemi kawałkami, bywa wygarnianą razem z popiołem. Ponieważ glina ta sprzyja z jednej strony dłuższemu utrzymaniu gorąca, z drugiej zabezpiecza kafle od zbytniego przepalania się, restauracya więc w podobnym wypadku jest konieczną. Radzilibyśmy zamiast zwyczajnej gliny, użyć do restauracyi następującej mięszaniny: wziąć potrzebną ilość mocnej zwartej gliny, o ile możności czystej i z tą samą ilością na wagę proszku z utartej palonej cegły. Proszek ten powinien być dobrze utarty, przesiany i starannie z gliną przerobiony. Rozrobić wszystko razem wodą, zawierającą trochę zwyczajnej szarej soli. Garść soli na kwartę wody wystarcza. Murarską kielnią lub poprostu ręką obrzuca się ściany pieca na wewnątrz do wysokości mniej więcej płomienia lub i wyżej, jeśli tego zachodzi potrzeba. Tego rodzaju glina wytrzymuje najwyższą temperaturę i byle czem odtrącić się nie daje.

Cukierki od kaszlu (Pate de Guimauve.)

Cukierki pod powyższem nazwiskiem cieszą się wielkim pokupem, jako bardzo skuteczne, a zarazem dość przyjemne lekarstwo na kaszel. Sposób ich przygotowania jest nader łatwy. Odważyć: 1) gumy arabskiej w proszku 1,000 gramów, 2,) cukru tłuczonego 1,000 gr., 3) wody rzecznej lub zdrojowej 1,000 gr. 4) i nakoniec wody kwiatu pomarańczowego 100 gr. Do tego wszystkiego dodaje się białka dwunastu jajek. Przemywa się szybko gumę w wodzie, następnie rozpuszcza się ją lekko nagrzewając. Następnie należy przecedzić roztwór przez płótno, dodać doń cukru i wyparowywać mięszaninę do tęgości gęstego syropu. Potem dolewa się potrochu wodę różaną i białka, ustawicznie mięszając na ogniu, dopóki płyn nie zgęstnieje i nie stanie się ciastowatym. Wówczas wybiera się go na stół, przyprószony mąką, przesianą z cukrem, rozwałkowywa i kraje w kostki. Jeżeli użyte produkta były w dobrym gatunku i nie ulegały przypaleniu wskutek zbyt silnego ognia i niedostatecznego przemięszywania, otrzymane cukierki powinny być matowe, koloru mlecznego. Główną swą skuteczność zawdzięczają gumie i białku, mających własność łagodzenia podrażnionej błony szluzowej.

Łamigłówka.

(Ułożyła pani Bożemska ze Stanisławowa.)



1) Spółgłoska; 2) Władca; 3) Taniec; 4) Badacz przyrody; 5) Drogie kamienie; 6) Powieściopisarz; 7) Naród; 8) ? ?; 9) Imię i nazwisko krytyka; 10) Tytuł tragedyi niemieckiej; 11) Nauka; 12) Niezbędna dla dam; 13) Miasteczko; 14) Narzędzie zmysłu; 15) Samogłoska.

Litery czytane z góry w dół, przez środek i w poprzek, dają imię i nazwisko znakomitego historyka.

Jako premjum za rozwiązanie powyższej łamigłówki, przeznaczamy powieść **Jaksy Bykowskiego** p. t. „**Mulik**".

Rozwiązanie łamigłówki z Nru 3.

W	e	r	o	n	i	k	a	E	u	s	t	a	c	h	**y**
K	**i**	l	i	ń	s	k	i	K	o	s	t	r	o	**m**	a
S	i	**e**	n	i	a	w	a	R	**a**	d	o	m	**y**	ś	l
R	o	p	**c**	z	y	c	e	B	u	r	s	**z**	t	y	n
W	a	r	s	**z**	a	w	a	O	m	a	**c**	n	i	c	a
C	l	e	r	m	**o**	n	t	B	r	**y**	t	a	**n**	i	a
N	o	**w**	y	t	a	**r**	g	D	**ż**	a	w	a	h	i	r
S	e	r	a	j	e	w	**o**	**a**	l	h	a	m	b	r	a
K	r	**a**	s	i	c	k	**i**	**m**	a	z	**a**	r	i	n	i
W	a	d	o	w	i	**c**	e	C	**z**	o	r	t	**k**	ó	w
M	o	r	a	w	**s**	k	i	E	l	**i**	z	e	u	s	z
O	ś	w	i	**ę**	c	i	m	N	i	e	**m**	i	r	ó	w
Z	a	n	**z**	i	b	a	r	M	e	d	y	**o**	ł	a	n
M	i	**c**	h	a	ł	e	k	P	a	w	ł	o	**w**	s	k
C	**z**	e	r	l	a	n	y	W	i	k	t	o	r	**y**	a
S	a	r	a	g	o	s	a	J	e	r	o	b	o	a	**m**

Rozwiązanie łamigłówki z liter w Nr. 3.

Jeden tylko, jeden cud,
Z szlachtą polską, polski lud.

Rozwiązanie tajemniczej karty wizytowej i Repertoaru teatralnego.

Czytając (jak to znak + po prawej stronie u góry wskazuje) zamiast każdej litery na karcie, literę następującą w alfabecie (a więc zamiast v: w, i t. d.) otrzymamy:

„Wieczory zimowe"
we Lwowie.

⇓

Zbój	**c**	y
M	**a**	scota
Ma	**r**	ta
Nor	**m**	a
Gasparon	**e**	
Fati	**n**	ica

⇓

Niedziela: **Carmen.**

Rozwiązanie pierwszej łamigłówki nadesłali:

p. Marcin Rębacz z Wieliczki, Pani L. Kropińska z Rzeszowa i p. Tadeusz Sośniak z Nowego Sącza — pierwszej i drugiej nadesłała pani Emilia Waspiel z Łopatyna.

Wszystkich łamigłówek nikt nie rozwiązał.

Księgarnia Polska poleca następujące nowości:

SĘK. Nowelle . . . . 1 zł. 80 ct.
Z. L. S. Ostatnie chwile powstania styczniowego. II tomy. 7 „ 20 „
BOBRZYŃSKI M. Dzieje Polski, za II tomy. . . . . . 4 „ 80 „
ŻYCHLIŃSKI. Złota księga szlachty polskiej. Rocznik 10-ty. 6 „ 40 „
SZUMSKI T. Nie ziemia winna. Powieść. . . . . . . — „ 20 „

Z drukarni nar. W. Manieckiego: Zarządca: Walenty Hodak. Wydawca: Józef Rogosz Odpowiedzialny redaktor: Teofil Szumski.